Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Na jeziorze Sircze. Fot. Witold Olędzki.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 34 (689) 20 SIERPNIA 1932 R.



Nero, Czok i Aza. Fot. Józef Matuszak.

ZE WSPOMNIEŃ ŁOWIECKICH.

Wspomnienia złotą, cienką przędzą przesuwaja się przed oczyma, i ileż w nich radości i przeżycia młodzieńczego przewija się barwnemi farbami radosnych chwil, niemal szczęśliwych godzin życia.

I dziś, gdy myślą tylko przebiegać można te wielkie obszary, te, zda się, bezdenne bagniska i otchłanne wody, to nie chce się wprost wierzyć, że się po tych nieprzebytych topielach brodziło, w poszukiwaniu trofeów myśliwskich.

Ileż to wieczorów cudnych, pięknych i ciepłych—letnich, przesiedziało się nad brzegiem jeziorka w oczekiwaniu, często daremnem, przelotu kaczek.

Młodości, ty pełna nadziei, niezrażająca się niepowodzeniami, a ciesząca się najmniejszym choćby sukcesem, przeszłaś i znikłaś, a pozostały tylko wspomnienia...

Polowałem na kaczki na tak zwanych zlotach i przelotach, kiedy to stadkami, parami lub pojedyńczo ciągną z rozmaitych stron ku miejscom, obfitującym w żer.

Polowanie to daje możność myśliwemu wyładowania swojej żyłki myśliwskiej i nastrzelania się dowoli.

Wadą tych polowań jest późny ciąg kaczek, tak, że nieraz na ciemno - granatowem, prawie czarnem tle nieba ledwo odróżnić można było nadlatujące sztuki, to też pudeł było coniemiara.

Prawdziwą też klęską było na tych polowaniach całe roje komarów, które brzęcąc na najrozmaitsze tony, cięły i gryzły niemiłosiernie.

Nic nie pomagały zalecane przez rozmaitych myśliwych środki zaradcze, jak: olejek goździkowy, sok cytrynowy, ciągłe palenie papierosów lub fajki, nieprzeliczone bowiem chmary tych zgryźliwych stworzonek, szły ciągle do ataku, nie bacząc ani na dym, ani na zapach olejków, ani na masakrowanie ich całemi setkami na okrytych bąblami twarzach i rękach.

Lecz cóż to wszystko znaczyło wobec wielkiej radości jeśli już nie upolowania, to choćby samego strzelania do kaczek.

A było ich tam roje, na tem Polesiu, prawdziwej ptactwa wodnego krainie.

W lesie, wśród wysokich sosen i gęstych brzezniaków, znane mi były niewielkie jeziorka, właściwie bagienka, wody bowiem tam było bardzo niewiele, zarośnięte wysoką trawą, skarłowaciałą sosenką i usychającą już brzózką.

Na bagienka te właśnie zlatywały kaczki, by spędzić tam dzień upalny.

Wybierałem się też na polowania na te bagienka o rozmaitych porach dnia, najczęściej we dwójkę z pieskiem swoim, mającym we krwi trochę setera, a trochę kundysa, który doskonale rozumiał zadanie, jakie miał do spełnienia, by kaczki na mnie napędzić.

Stawałem na brzegu bagienka, a piesek mój na moje skinienie, puszczał się pędem, okrążając bagienko szerokiem kołem, na przeciwległą stronę tegoż, właził w bagno, chlapiąc po wodzie, a temsamem, strasząc kaczki, które zrywały się całemi stadami, a podnosząc się w górę, przelatywały nademną.

Nie było to długie polowanie, bo najwyżej można było dać dwa strzały i kaczki już nie wracały tego dnia.

Próbowałem też w młodzieńczych dniach myślistwa swego podkradać się do dzikich gęsi, żerujących stadkami na łąkach lub polach, zwłaszcza z dojrze-

wającym owsem, lecz trudność podejścia ostrożnych tych ptaków była tak wielka, że rzadko kiedy udało mi się zbliżyć na odległość strzału.

Pamiętam zdarzenie z lat swych młodzieńczych, gdy w nagrodę za dobrą naukę otrzymałem od ojca jednorurkę, nabijaną przez lufę, z którą chodziłem na polowanie z wielkim swoim przyjacielem — ogrodnikiem Sidorem, zawołanym myśliwym.

On był pierwszym moim nauczycielem łowiectwa, prawdziwym praktykiem i znawcą natury zwierzęcej i wszelakiego ptactwa; uczył mnie wabić, podchodzić i podkradać się do zwierzyny, obserwować jej życie, ochraniać gniazda ptasie i miłować stworzenia boże.

Włócząc się niegdyś po skoszonej łące, ciągnącej się wzdłuż jeziora, zobaczyłem zdaleka stadko pasących się gęsi.

W jednej chwili leżałem plackiem na ziemi i pełzając od kopicy do kopicy ustawionego już siana, zbliżałem się coraz bardziej do pasącego się stadka.

Lecz oto ostatnia kopica, do której podpełzłem. Cicho podniósłszy się, wyjrzałem i ku wielkiej swej radości zobaczyłem o jakie trzydzieści kroków stojącą na czatach gęś.

Kręciła ona niespokojnie głową, przeczuwając, że coś niedobrego się święci, jednakże tak cicho podpełzłem, że nie przeczuwała widocznie, co się za kopicą siana kryje.

Wymierzyłem dokładnie i huknąłem strzałem z potężnego swego garłacza.

Dym narazie wszystko mi zasłonił, po chwili jednak ujrzałem upolowaną gęś, a w górze stadko, kierujące się wprost ku wsi.

Zabrawszy upolowaną gęś, poszedłem, dumny ze swego dzieła, do domu.

Na połowie drogi spotkał mnie stary mój przyjaciel, ogrodnik Sidor, witając z dobrotliwym uśmiechem na twarzy.

— A do czego to panicz strzelał?

Z tryumfem uniosłem gęś do góry, pokazując ją Sidorowi.

Ten jednak, obejrzawszy ją, pokręcił jakoś dziwnie głową, a śmiejąc się, poklepał mnie po ramieniu i rzekł wesoło:

— Tłusta gęś, ładna gęś, tylko to nie dzika a swojska i nasza popadia zmartwi się, gdy wieczorem nie doliczy się jednej sztuki, bo to jej gęsi latają na staw i sianożęcie.

Ogromnie się tem zmartwiłem, lecz poczciwy Sidor uspokoił mnie, obiecując odesłać żywą gęś popadji, a o całym wypadku, na moją prośbę, nikomu nic nie mówić, czego też święcie dotrzymał.

Gorszy wypadek z czasów młodości miał kolega mój i towarzysz wspólnych wypraw myśliwskich, Stach Cz. i on, bawiąc przez letnie wakacje na wsi u babki swej w naszem sąsiedztwie, otrzymał również, jako nagrodę strzelbę-jednorurkę, z którą polował pod nadzorem starego ekonoma, Mroczkowskiego lub też ze mną i z nieodłącznym w tym wypadku przyjacielem naszym, starym Sidorem.

Długolufa flinta zwykle stawiana była za piecem w kancelarji i nie wolno było Stachowi samemu na polowania chodzić, co go mocno trapiło, martwiło i irytowało.

Siedząc pewnego pięknego poranka na ławce przed dworkiem, Stach obmyślał, jakby umknąć z domu i dostać się do gajówki położonej o kilka kilometrów od dworu, wśród lasu, gdzie mu syn gajowego tyle opowiadał ciekawych szczegółów, o młodych cietrzewiach, głuszcach, ba! nawet o wilczej rodzinie, którą wabić obiecał nam stary Sidor.

Gdy tak pogrążony w myślach roztrząsał szanse powodzenia udania się zabronionej wycieczki, ujrzał pędzącego przez dziedziniec ku niemu chłopaka kredensowego, Józka.

Po chwili zdyszany Józiek stanął przed nim i sapiąc głośno, wykrztusił:

— Paniczu, gęsi!

— Gdzie? — zawołał Stach.

— Tam w polu pod owsianiskiem, gdzie Antek orze ścierń.

Decyzja zapadła w jednej chwili.

— Idziemy, — rzekł — lecz trzeba dostać przedtem strzelbę; stoi w kancelarji za piecem, a na gwoździu wisi róg z prochem i torebka ze śrutem, musisz Józiek przez pokoje tam wejść, wziąć to wszystko, przez okno mi podać, bo jak mnie zobaczą, to się zaraz domyślą i gotowi babci powiedzieć, że poszedłem do kancelarji.

Józiek pobiegł, Stach zaś stanął pod oknem, oczekując z niecierpliwością podania mu broni.

Lecz oto okno się otwiera, flinta, róg z prochem i torba ze śrutem już w ręku Stacha, a Józiek jednym susem wyskakuje przez okno i pędem, co tchu w piersiach i co sił w nogach, lecą przez duży ogród, przesadzają dość szeroki rów, przełażą przez płot i już są w polu.

Tu się zatrzymali, a Stach rozpoczął nabijanie strzelby, wsypując powiększoną dozę prochu, jak również i śrutu.

Przybił dokładnie proch starą gazetą, a śrut także, założył piston i popędzili dalej.

Na polu stała para wołów z pługiem, a obok młody parobek, Antoni, ćmił olbrzymiego papierosa, skręconego z gazety i machorki.

— Gdzie gęsi? — zawołał Stach.

— Ot, tam, za pagórkiem, — odpowiedział flegmatycznie Antoni. — Można je podejść, bo się wołów i pługa nie boją, tylko trzeba, by panicz za wołami się schował, a ja będę orał i zbliżał się do nich, a gdy będę na równej już z nimi linji, to panicz przystanie, a ja odejdę dalej i wtenczas strzelać można.

Stach stanął za wołami i cały dygocąc ze zgorączkowania i emocji, ruszył razem z wołami, starając się, by nawet wierzchołek jego głowy z poza grzbietu wołów nie wystawał.

Szli tak dosyć długo, aż Antoni szepnął: „Już się zbliżamy".

Po chwili znów nowy szept: „Proszę stanąć!"

Stach się zatrzymał i gdy woły krok dalej zrobiły, ujrzał raptem o dobre kilkadziesiąt kroków, stadko gęsi.

W jednej chwili zmierzył i wypalił. Huk garłacza, gęsty dym i chlapnięcie mu w twarz czemś ciepłem i lepkiem, a potem krzyk Anteniego:

— Prr... prr... stój, dokąd lecisz! — oszołomiło go na chwilę.

Lecz oto dym się rozszedł i widzi pędzące woły

przez pole z przewróconym pługiem, a z tyłu biegnącego Antoniego, przeklinającego woły i starającego się zatrzymać je uciekające w panicznym strachu.

Gęsi ani znaku, gdzieś tam w oddali ginęły w obłokach.

Józiek z szeroko rozwartemi oczami stojący przed nim, umazana twarz krwią, wszystko to czyniło wrażenie czegoś niepojętego i niezrozumiałego dla niego.

— Co się stało, Józiek?

— A no nic! — odrzekł, przerażonemi oczami śledząc za uciekającymi wołami.

— Skądże ta krew?

— A to pewnie z ogona, którego panicz odstrzelił u tego wołu rabego.

— A gęsi? — zapytał Stach.

— A no poleciały!... i co teraz będzie? pan Mroczkowski jak się dowie, to babuni powie...

— Uciekajmy! — zawyrokował Stach — i pędem puścili się z powrotem do domu.

Strzelbę, róg i torbę postawiono na miejscu i jak gdyby nigdy nic. Dopiero wieczorem, gdy wszyscy siedzieli przy kolacji, wszedł, pochrząkując i głośno wycierając nos, pan ekonom Mroczkowski, a babunia, zwyczajem oddawna przyjętym, zapytała swym łagodnym i cichym głosem:

— I cóż tam słychać, panie Mroczkowski? Czy wszystko dobrze i w porządku?

— Chwała Bogu! — odpowiedział pan Mroczkowski — nic złego się nie stało, tylko u tego biednego rabego wolika ogon odleciał.

— Jezus Marja! — zawołała babunia, — co się stało... jakim to sposobem?

— A no, to nam chyba Staś najlepiej opowie, jak to on polował na gęsi i zamiast gęś ubić, ogon rabemu odstrzelił.

Lecz Stacha już przy stole nie było, znikł jak kamfora.

Okazało się, że Stach ujrzawszy gęsi, nie doczekał się chwili, aż pług z Antonim przejdzie, lecz wygarnął ze swego garłacza tuż za wołami, a nabój kulą wylatując z lufy, odciął biednemu wołu ogon, którym biedne zwierzę opędzało się od napastliwych much.

Długi czas dokuczano Stachowi wolim ogonem, a łobuzerja wiejska, mszcząc się za psoty, wołała za przejeżdżającym przez wieś Stachem: „Ogon jedzie, ogon jedzie!"... co było wielkiem zmartwieniem i utrapieniem niefortunnego myśliwca.

LEON PĘSKI.

MOJE WŁÓCZĘGI.

Po przeczytaniu arcyciekawego opowiadania w Nr. z dn. 22 grudnia 1931 r. p. t. „Prawdziwe zdarzenie", przypomniały mi się moje niektóre dziwne spotkania. Nie były one wprawdzie tak zdumiewająco - paleontologiczne, jak tamto, w każdym jednak razie, mogą zainteresować myśliwych przyrodników. Prosiłabym nawet pp. Kolegów z pod znaku św. Huberta o łaskawe odpowiedzi w „Łowcu Polskim", które mogłyby mnie objaśnić co do natury ptaków, jakie widziałam.



Z sierpniowych sadów. Fot. St. Michajłowicz.

Nie jestem myśliwym, lecz myśliwą. Namiętność łowiecka, która do tej pory szła prawidłowo po mieczu, zboczyła nagle, nie wiadomo dlaczego, zrekoszetowała, że tak powiem, i zamiast trafić w którego z moich braci, pominęła ich zupełnie, i z całą siłą ugodziła we mnie! Dziwne są prawa dziedziczności! Nie lubię naganki, która mąci uroczystą ciszę leśną, nie lubię kotłów, gdzie zwierzyna szaleje z przerażenia, nie lubię hekatomby zajęczej, która koronuje te polowania, nie chodzę również na pomyka, bo wiem że to niszczy zwierzynę. Przepadam natomiast za samotną włóczęgą, taką pra-ojcowską, po lasach, po gęstych zagajach, po mokrych olszynach, pełnych śpiących bagienek, nad brzegami stawów, pełnych wodnego ptactwa.

Podchodzenie kozłów, ciągi słonek, podkradanie się ze sztucerem do drapieżników, siedzących na wyniosłych drzewach, wszelkie czaty i podpatrywanie — oto moja radość.

Kocham las samotny, cichy, rozgrzany słońcem, pachnący smółką i żywicą, nieśmiertelnikami i paprocią, brzmiący leniwym brzękiem rojów muszek i pszczół, ciszę, przerywaną krzykiem myszołowa lub kobuza, cudne wieczory, grające rozgwarem żab i tokowaniem bekasa... Oprócz roskoszy myśliwskiej, takie wędrówki owiane są niewymownym czarem otaczającej natury. Inna sprawa, że gdy taki krogulec, pracowicie podchodzony, namiętnie upragniony, spadnie nareszcie od mojej kuli z wysokiej sosny i leży z zamglonem okiem, drapieżna moja radość miesza się z dziwnym odruchem żalu, jakby wyrzutu sumienia że mu przecięłam pasmo pięknego życia, nie wiadomo właściwie, jakiem prawem, i z przykrością podnoszę zdobyte trofeum, — to są tajniki natury ludzkiej, jakaś dwoistość, złożona z pierwotnych instynktów, złagodzonych cywilizacją. — Dość, że taka włó-

częga ma dla mnie niewysłowiony urok, wzmocniony jeszcze oczekiwaniem czegoś niespodziewanego, czegoś, co stać się musi: „A może dziś właśnie spotkam sępa zabłąkanego, jak to się przytrafiło memu stryjowi?..." i krew zaczyna grać goręcej, ręka ściska mocniej sztucer, wzrok i słuch wytężają się, a nogi stąpają kociemi krokami. — I rzeczywiście miałam w takich wędrówkach parę ciekawych wypadków.



Osobliwa wiewiórka. Fot. W. Przyjemska.

Szłam raz ścieżką przez zagajnik. Słońce świeciło silnie za mną. Nagle, po lewej stronie dróżki, w gąszczu, coś zatrzepotało się rozgłośnie i zerwało z takim szumem i brzękiem, jak kuropatwy, tylko o wiele głośniej, aż się zatrzęsłam nerwowo. W pełnem słońcu przeleciał przedemną, o jakieś 10 kroków, dziwny ptak. Wielkości i kształtu perliczki, brzuch i piersi ognisto rude, grzbiet ciemno brunatny, przechodzący na skrzydłach w kolor czarny. Przeleciał niskim łukiem tuż nad krzakami i drożyną i zapadł zaraz w krzaki po drugiej stronie, — a tuż za nim drugi taki sam. I słychać było szelest suchych liści pod wyciekającemi na piechotę ptakami. Wszystko to razem trwało kilka sekund, ale oświetlone silnem słońcem ptaki wryły mi się w oczy, i stałam, jak słup soli, wpatrzona w obraz, który się utrwalił na mojej siatkówce. Co to było? co to za ptaki? — widziałam je tak wyraźnie w słońcu; jednego i drugiego, zupełnie jednakowe?... Jestem przyrodniczką jeszcze bardziej, niż myśliwą, znam wszystkie nasze ptaki, ale o tych pojęcia nie miałam. Długo było to dla mnie zagadką, wypytywałam wszystkich wytrawnych myśliwych i przyrodników, jedni mówili że może cietrzewie, ale cietrzew nie jest rudy, — drudzy, że pardwy w letniej odzieży, ale pardwy mają białe lotki, aż wreszcie jeden powiedział, że były to zapewne kusaki czyli „Tinamu", ptaki z Ameryki Południowej, które próbowano aklimatyzować w Prusach Wschodnich, a że nasz majątek przytyka do tej granicy, mogły do nas zawędrować. To jest najprawdopodobniejsze, i pytam, czy który z czytelników słyszał o takich próbach aklimatyzacji tych pięknych ptaków, lub może gdzie widział, i jakie były rezultaty? Zwierzyna to wspaniała!

Drugi wypadek był następujący: Szłam przez pola i nie miałam żadnej broni. Była wiosna, pora lęgowa, wszelkie przeloty dawno ustały, wszystkie ptaki ziemne i wodne siedziały już na jajach. Było mglisto, szaro, mżył deszczyk, jak pył, przesłaniając świat welonem beznadziejnego smutku. Naraz usłyszałam jakiś dziwny szum i ujrzałam nad sobą, we mgle, przelatujące ogromnem stadem duże ptaki. Było ich z 50 — 60. Typowa sylweta wodnych ptaków: duże, rozmachane skrzydła, długa szyja, krótki ogon, gruby tułów bez nóg. Leciały nie kluczem, jak żórawie, nie sznurem, jak gęsi, lecz bezładną gromadą, jak to czasem wrony na jesieni, ale co najdziwniejsze, że wydawały tylko ten potężny szum. Wyglądało to wprost niesamowicie. Już znikły we mgle, a jeszcze słychać było ten szum, gdy tuż zaraz nadleciało drugie takie samo stado, tak samo liczne, tak samo bezładne, tak samo milczące i szumiące, — i tak samo znikło, jak mara. Zdumiona, patrzyłam za niemi i długo słyszałam oddalający się szum. Co to mogło być? nie gęsi, nie żórawie, może jakieś wielkie nury lub łabędzie, ale, czy one lecą takiemi wielkiemi stadami? Było ich ze stokilkadziesiąt razem. I ta dziwna pora, kiedy niema już przelotów i wszystko siedzi już na jajach. Żaden myśliwy nie umiał mnie objaśnić. Może który z Szan. Czytelników znajdzie na to odpowiedź. Miałam jeszcze parę innych oryginalnych wydarzeń, — tymczasem jednak załączam już tylko fotografję wiewiórki z białym ogonem, zabitej przezemnie.

WANDA PRZYJEMSKA

MOJE WRAŻENIA MYŚLIWSKIE Z BOGDANÓWKI.

Korzystając z miłego zaproszenia państwa Jakubowstwa Chomętowskich, wybrałem się w połowie kwietnia na polowanie na głuszce do majątku Bogdanówka w Pińszczyźnie.

Dwie noce spędziłem w uroczysku, zwanem „Jarmosz", a trzecią — na uroczysku „Prowalje". Na każdem z nich tokowało kilkanaście głuszców. Chociaż każdego wieczoru byłem na zapadach i co wieczór udawało mi się osadzić kilka głuszców, a rankami podchodziłem do nich na bliski dystans, nie zabiłem ani jednego koguta, a to z powodu mego słabego wzroku, — głuszce bardzo wcześnie zlatywały z drzew na ziemię. „Żal starika", — meldował o mojem niepowodzeniu p. Chomętowskiemu „dyrektor" polowań bogdanowieckich, stary wyga i kłusownik, Iwan Jarmolczyk, współczując mi i wyrażając żal, że moje trudy i niewygody poszły na marne.

Łowiska bogdanowieckie znam od roku 1924-go; z przyjemnością konstatuję kolosalną poprawę stanu głuszców: z kilku grających kogutów w roku 1924-m do kilkudziesięciu graczy w roku bieżącym. Prócz Jarmosza i Prowalja, tokowały głuszce po jednym lub po dwa, trzy w kilku innych miejscach. Sądząc z ilości zapadających na tokowiskach w tym roku „krechtunów", spodziewam się, że w przyszłym roku liczba grających w Bogdanówce głuszców zbliży się do setki. Poprawę powyższą przypisuję w pierwszym rzędzie wybiciu prawie wszystkich psów wioskowych przez właścicieli — włościan, nie życzących sobie płacić podatku za swoich „Burków" i „Bukietów", a następnie skoordynowanej akcji właścicieli

Bogdanówki i powiatowych władz administracyjnych, która doprowadziła w roku ubiegłym do konfiskaty 26 strzelb, nielegalnie posiadanych przez ludność miejscową. Właściciele pojedynek i dubeltówek pistonowych, prawdziwi amatorzy „mięsa" (szczególnie sarniny) zostali surowo ukarani przez starostę pińskiego, p. Bołdoka, zamiłowanego myśliwego, i staną się zapewne „jaroszami", ku wielkiemu dla swego zdrowia pożytkowi.

W parę dni po mojem fiasco zostało zabitych 6 głuszców przez zaproszonych gości i właścicieli Bogdanówki.

Organizacja polowań nie pozostawiała nic do życzenia. Tokowiska były bardzo pilnie strzeżone przez wzmocnioną straż leśną.

Ku wygodzie myśliwych — zbudowane zostały w Jarmoszu i Prowalju doskonałe schroniska — „kurenia"; dla pań i „starszych panów" zostały położone w Prowalju nadzwyczaj wygodne kładki, przeszło kilometrowej długości, po jakich doszedłem prawie do drzewa, na którem śpiewał król ptaków Polesia. I choć nic nie zabiłem, nie żałuję trzech nieprzespanych nocy, spędzonych w leśnem „kureniu". Śpiew głuszca i zapach „bahunu" przeniosły mnie do mego kraju rodzinnego, do opuszczonego gniazda mych ojców, gdzie „zorganizowany proletarjat" zapewne już w pierwszym roku rewolucji wytępił, wybił co do jednego „królów" mojej niezapomnianej, cudnej puszczy Witebskiej.

WIKTOR PIOTROWSKI.



W OBRONIE DZIKA.

Dzik, ta piękna czarna zwierzyna, — tyle dająca niecodziennych przeżyć łowieckich myśliwym, którzy idą nie na ilość, — a którym serce bije myśliwską ochotą na sam widok tropu i weksla odyńca — ginie w oczach. W zachodnich i centralnych województwach dzik jest rzadkością, w reszcie Rzeczypospolitej — tylko rzadkich trzyma się ostoi.

Wobec tego, że dzika wolno strzelać, zgodnie z prawem łowieckiem cały rok bez różnicy płci — dni jego są policzone; w tych warunkach to jedno z najpiękniejszych naszych zwierząt łownych w ciągu paru lat będzie się liczyć na sztuki w paru amatorskich rewirach magnackich i w miejskich zwierzyńcach.

I tutaj rodzi się pytanie czy słusznem jest, aby prawo łowieckie wydawało właściwie wyrok śmierci na tę piękną i pożyteczną zwierzynę, dalej czy jest to logicznem i sprawiedliwem wobec innych terminów ochronnych nawet dla szkodników? Czy poza łowiectwem nie została naruszona w swych prawach ochrona fauny i przyrody polskiej?

Nieliczni zapewne przeciwnicy moi powiedzą, że ten zaczadziały zwolennik dziczych łowów unosi się fantazją, pomija rzeczywistość, więc koszta, szkody w polach, odszkodowania i t. d. Będąc na to przygotowanym, sięgam do osobistych i cudzych doświadczeń z dziczych zwyczajów, biorę do ręki zresztą takie źródło, jak podręcznik szkolny łowiectwa i czytam dosłownie, „że dzik *(sus scrofa)*, należy do zwierząt łownych użytecznych" i z dwunastu tych gatunków on jeden jest wyklęty z prawa łowieckiego, łącznie z mnożnym szkodnikiem lasu — królikiem. Ze szkodnych zwierząt łownych chronione są: niedźwiedź, borsuk, nawet wiewiórka. I tutaj z całą jaskrawością widzimy lukę w prawie łowieckiem, więc dzik, który jest bezsprzecznie w leśnictwie pożytecznym, tępiąc pędraki zawodowo, co sekcje żołądka tyle razy wykazały, usuwając z lasu padlinę, którą żyje, a ryjąc i wzruszając glebę w poszukiwaniu za korzonkami, pędrakami, grzybami, buczyną, czy żołędziem, szerząc samosiewy, więc zwierz ten, niechętnie opuszczający głębokie knieje, w gąszczach i mokradłach, żywiący się nawet żabami, zwierz dziki, w polu wyjątkowo tylko przebywający, a dzięki temu i mało polnych szkód robiący, a w każdym razie mniej od innej zwierzyny, — zwierz ten jest strzelany okrągły rok i to bez różnicy, strzelają mięsożerni nemrodzi odyńca, lochę, czy warchlaka, rżnąc granulkami prośne lochy o marcowej ponowie, lub osierocając w maju małe warchlaki. Gdzież logika, gdzie sprawiedliwość?

Dla porównania wezmę jelenia *(cervus elaphus)* ten niezaprzeczenie piękny okaz zwierzyny łownej, ale stwierdzony szkodnik lasów, obgryzający pędy i korę na drzewach, obdzierający korę wieńcami, tratujący kultury i szkółki, a stada, wynoszące się

chętnie w pola i badylami rozgarniając i tratując zasiewy i rozkopując nawet kopce z kartoflami i mogące w ciągu nocy roznieść stóg z sianem, ta zwierzyna — daj jej zdrowie św. Hubercie, jest chroniona tak pieczołowicie, że prawo pozwala tylko nielicznym wybrańcom losu strzelać byki i to tylko 45 dni w roku! Wobec powyższej ochrony, oraz ochrony wiewiórki, niszczącej pędy, nasiona, pisklęta i jaja ptasie, pytamy, czyż nie słusznem byłoby wprowadzenie ochrony dla dzika? Czyż nie mamy prawa oczekiwać tego od noweli obiecanej do prawa łowieckiego, która ma naprawić wiele braków, jakie życie wykazało. Czekamy więc, że ta krzywda łowiecka zostanie naprawiona (wystarczy nawet ministerjalne rozporządzenie), w myśl zasad nietylko łowieckich, ale kulturalnych, no i w myśl prostej logiki. Bo albo chrońmy dzika, albo, dla tejże logiki i demokratycznych odszkodowań, wystrzelajmy jelenie, daniele oraz inne okazy fauny polskiej.

Mam wrażenie, że głos mój nie jest odosobniony, że dzicze łowy są w Polsce jedyne, że dosyć posłuchać o tradycjach rodu Zamoyskich i kłutych dzikach w Różance, o łowach w Dawidgródku, Porycku, czy Rozhurczu, proszę przeczytać artykuł „Polowanie z psami na dziki" („Łowiec Polski" Nr. 21 z 24.V.30). Dlaczegóż dzik jest honorowany w literaturze naszej, dlaczegóż Mickiewicz pisze:

„Za moich, Panie, czasów w języku strzeleckim
D z i k, niedźwiedź, łoś, wilk zwany był zwierzem szlacheckim".

lub:

„Terajewicza znałem, co, idąc na dziki,
Nie brał innego oręża, prócz piki...".

Proszę przeczytać „Szczęśliwe dni" Badeniego, albo wczuć się w wizje Haskiela — Rajeckiego. Nakoniec nieodżałowany nasz pieśniarz łowiecki, Ejsmond, który synom tak mówi o dziku:

„Kiedy będziecie już duzi,
moi najmilsi łobuzi,
Tatuś weźmie was
zimą w biały las
na łowy...
Zawrzaśnie nagle obława...
Sen pierzchnie — zbudzi się jawa!
Ze śniegowych leż
ruszy ku nam zwierz...
(Cudne łowy są na białej stopie!)
I nigdy, synkowie mili,
nie zpomnicie tej chwili:
naganiaczy krzyk,
granie psów... i dzik!
Strzał tatusia... i farba na tropie!".

Niezapomniane chwile nietylko dla drugoklasisty, ale i dla ojca, dla myśliwego, który odczuwa piękno zaśnieżonej kniei i zwierza, co szablami wroga rozpruć potrafi, co tradycją sięga czasów rycerskich bez lęku i bez zmazy.

BOLESŁAW JAKUBOWSKI.

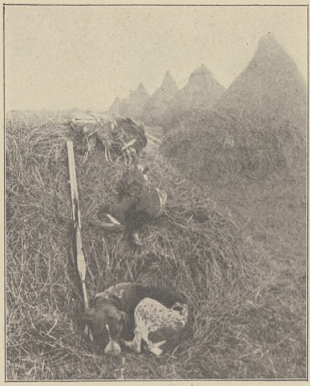
W SPRAWIE ODSTRZAŁU SŁONEK.

Do artykułu p. J. Domaniewskiego, umieszczonego w Nr. 15 „Łowca Polskiego" z dn. 9 kwietnia r. b., a przedewszystkiem do opinji szanownego autora, że „jeśli jednak chodzi o racjonalne polowanie (na słonki, o zachowanie gatunku, to muszę się stanowczo wypowiedzieć przeciwko polowaniu na ciągu" — pozwalam sobie przytoczyć spostrzeżenia, jakie, wykonując przez przeszło lat czterdzieści polowanie na ciągu słonek na terenie prawie całej R. P. i znacznej części zachodniej Rosji, poczynić miałem sposobność. W Poznańskiem trwa ciąg słonek przeważnie 10 dni, i odbywa się prawie regularnie pomiędzy 15 i 25 marca, przyczem najliczniej zaznaczający się ciąg ma miejsce między 18 i 22 marca. Jeżeli w tym czasie na północno - wschodzie, a więc na Pomorzu, w Prusach Królewskich, na Litwie i w Suwalszczyźnie, niema już nad ziemią zwartego całunu śnieżnego i stałego mrozu, słonki nigdy dłużej jak noc jedną w lasach Poznańskiego nie przebywają, śpiesząc jak najdalej na północ lub północny - wschód, ku swym stronom lęgowym. Lasy w Poznańskiem są przeważnie suche, jednolicie sosnowe, więc takie, jakie słonki przy swym wiosennym ciągu starannie omijają. Nieliczne zaś tam lasy liściaste lub o mieszanym drzewostanie, są skanalizowane i tak osuszone, że nie posiadają warunków nieodzownych dla egzystencji słonek. Lasów, które jeszcze do dzisiaj pozostają w stanie pierwotnie danym im przez naturę, jest w Poznańskiem już bardzo niewiele, i z tego powodu jest tam rewirów takich, jakich słonka wymaga dla popasu na swej wiosennej wędrówce, bardzo mało. Bardzo więc jest tam nieliczna ilość myśliwych, którzy mają sposobność i możność wykonywania polowania na ciągu słonek, i myślę, iż liczba zastrzelonych na terenie całego województwa, nie przechodzi jednej setki, w czem jednak bezspornie może się znajdować do 50% samic, które w tym czasie, nie mając jeszcze gniazd, uczestniczą w ciągu na równi z samcami.

Tu należy nadmienić, iż cyfry, tak podane powyżej, jak i przytaczane w dalszym ciągu niniejszych uwag, nie są i nie mogą być niestety oparte na jakichkolwiek danych statystycznych, a są one jedynie wynikiem wieloletnich osobistych obserwacyj, potwierdzonych przez licznych myśliwych, z którymi temat ten omawiałem, oraz przez zwięzłe notatki kroniki łowieckiej, podawane przed wojną z zaboru niemieckiego w niemieckiej prasie łowieckiej, a z zaboru rosyjskiego i austrjackiego w odnośnej prasie polskiej.

W województwach centralnych wraz z Wołyńskiem wiosenny ciąg słonek rozpoczyna się około 18 marca i na tym ostatnim etapie, przed dotarciem do swych miejsc lęgowych, słonki są często zmuszone przebywać do 10 a nawet do 20 kwietnia, czekając na takie ocieplenie się w ich rodzinnych rewirach, któreby im zabezpieczało znalezienie w nich pożywienia. Ponieważ na terenie tych województw jest

jeszcze znaczna ilość lasów, odpowiadających wymaganym przez słonki warunkom, przeto ptak ten, zmuszony do dalszego przelotu wyczekiwać dłuższy czas odpowiedniej pory, rozprasza się po poszczególnych lasach, nie tworząc w żadnym z nich ciągów masowych. Ubicie słonki, przy trudności strzału do niej, i z jednej strony uwzględniając znaczny koszt nabojów, a z drugiej strony handlową taniość danej zwierzyny, niema żadnego wabika dla masy myśliwych, szukających w łowiectwie zysku, a nie wrażeń, mniej lub więcej wzniosłych. Dla sportowego zaś myśliwego, zamieszkującego w mieście są kosztowne wycieczki na niepewny w rezultacie ciąg słonek, mało pociągające. Z powyższych przyczyn, tak w centralnych województwach, jak i na Wołyniu, pada na wiosennym ciągu stosunkowo niewielka liczba słonek, chociaż przyznaję, iż i pomiędzy niemi może liczba samic dochodzić do 50% zastrzelonych.



Zasłużony odpoczynek. Fot: St. Bebenkowski.

Zależnie od temperatury, docierają słonki pomiędzy 1 a 20 kwietnia do swych miejsc lęgowych, położonych na terenie R. P., gdzie najwyżej w 3 do 4 pierwszych dniach ciągną samice, zawzięcie ścigane przez samców, poczem jajka są złożone i samica przystępuje do ich wysiadywania. Od tej chwili pojawiają się na ciągu już tylko same chrapiące samce, a jedynie w wyjątkowych wypadkach, gdy zwierz lub człowiek znajdzie i zniszczy gniazdo siedzącej na niem samicy, to ona szuka na nowo krótkiego na ciągu do samca zbliżenia, lecz to już nigdy nie trwa dłużej jak dwa wieczory. Z tych to powodów, chociaż w województwach: Białostockiem, Poleskiem, Nowogródzkiem i Wileńskiem słonek na wiosnę w każdem z nich pada z dziesięć razy więcej, aniżeli w Poznańskiem, na Wołyniu i w centralnych województwach, zastrzelonych pomiędzy niemi samic niema więcej, niż 2 do 3%.

Na ciągach jesiennych pada na terenie R. P. znikoma liczba słonek. Za wyjątkiem północnych powiatów województwa Pomorskiego, gdzie przeciągające ze skandynawskiego półwyspu i z północnej Rosji słonki jakiś czas wypoczywają, rzadko ktoś ma możność specjalnie na słonki w tym czasie polować. Tych kilkadziesiąt słonek, które tworzą ozdobę rozkładów jesiennych polowań, zdobywa się zwykle czysto przypadkowo przy okazji pędzeń na bażanty, króliki lub zające, a daleko rzadziej w czasie polowania na kuropatwy, bekasy, dubelty lub pardwy. Nie znaczy to jednak, by słonek u nas w jesieni nie było, lub by ich było mało. W centralnych i zachodnich województwach właściciele i dzierżawcy łowisk nie chcą prawdopodobnie niepokoić hodowanej na swych terenach innej zwierzyny, szukając z psem legawym słonek; a we wschodnich województwach jest jak dotąd myśliwy, posiadający do wszechstronnego użytku zdatnego wyżła, nadzwyczaj rzadko spotykanym szczęśliwcem. Jednak nawet w północno-wschodnich województwach, jak w Wileńskiem i Nowogródzkiem, spotyka się jeszcze w czasie listopadowych polowań z naganką na zające, dość liczne słonki, a przecież z natury rzeczy są to już tylko maruderzy głównego ich jesienią ciągu na południowy zachód, na zimowe leża.

Ilość przez zachodnią i centralną Polskę przeciągających, a w północno-wschodniej gnieżdżących się słonek istotnie znacznie się w ostatnich latach obniżyła, lecz jako przyczynę tego ubytku trudno uznać zastrzelenie na wiosennym ciągu kilkudziesięciu, a może nawet paruset samic. W stosunku do stanu przedwojennego, nie tylko zmniejszył się znacznie, przynajmniej w województwach, które w R. P. uważam za lęgowe słonek, ogólny obszar lasów, lecz i pierwotna struktura pozostałych lasów bardzo się zmieniła, nie tyle może przez przeprowadzenie w nich dużych zrębów, ile przez zamianę obszernych, zarosłych przeważnie łoziną, leszczyną, drobną brzeziną i olszyną, przestrzeni, które były dotąd najulubieńszą słonek ostoją, na łąki i pastwiska. To byłyby jedyne przyczyny, nie ze strony samych polujących, lecz ze strony właścicieli terenów łowieckich, które wpłynąć mogły na zmniejszenie się u nas ilości słonek. Szukając innych powodów tego zmniejszenia, należy uwzględnić gwałtowne zmiany wiosennej temperatury lat ostatnich, przedewszystkiem na Krymie i Kaukazie, a częściowo i na Bałkanach, w Alpach i Apeninach, które spowodowały wymarznięcie dziesiątek tysięcy wracających do swych stron rodzinnych ptaków, pomiędzy którymi przedewszystkiem, małoodpornych na dłuższe i mocne mrozy i śniegi, słonek. Jednak szkody, wyrządzone przez katastrofalne wybryki przyrody, wyrównałaby ona sama w ciągu lat niewielu, więc muszą być i są bezwątpienia i inne powody zaniku słonek. Nie potrzeba wcale specjalnie śledzić zagranicznych pism łowieckich, wystarczy przejrzeć z nich którekolwiek, a znajdzie się prawie w każdem notatki rekordowych cyfr zastrzelonych, przeważnie przez angielskich myśliwych, słonek, nie tylko w zachodniej i południowej Anglji, lecz i na Bałkanach, na Krymie, w Turcji, jednem słowem nie tylko tam, gdzie część słonek zimuje, lecz i w tych stronach,

gdzie one, przed lub po przebyciu morza, dłuższy czas odpoczywają. Cyfry, jakie ci strzelcy — gdyż myśliwymi nie należy ich nazywać — o osiągniętych rozkładach podają, są wprost zawrotne, przekraczające w poszczególnych wypadkach o wiele rozkłady, osiągnięte w czasie całego sezonu, przez wszystkich naszych myśliwych wspólnie, na terenie dwóch do trzech województw. Ten to masowy mord jest przyczyną zmniejszania się z roku na rok ilości powracających do nas słonek. Jeżeli więc my ustawowo zniesiemy strzelanie słonek na wiosennym ciągu, co się będzie równało prawie ich w Polsce całorocznej ochronie, to umożliwimy tylko garści międzynarodowym rekordowym strzelcom kontynuowanie już osiągniętych i dążenie do nowych, jeszcze wyższych rekordów. Ochronę słonek należy przeprowadzić na podstawie uchwał i postanowień międzynarodowego Związku Towarzystw Łowieckich. Mając wówczas gwarancję, że abstynencja polskich myśliwych nie wyjdzie tylko na korzyść międzynarodowych rekordowych strzelców, poświęcimy i my część naszych łowieckich przyjemności, ograniczając termin strzelania słonek na ciągu np. na czas od 20 kwietnia do 15 maja, a jesienią od 1 września do 1 grudnia.

WIT. GRABSKI.

Sz. Autor miesza dwa różne pojęcia: ciągu i przelotów, wymagające odrębnego traktowania. Pierwszy jest organicznie związany z porą godową gdy drugie dotyczą wędrówek ptaka w związku ze zmianą miejsca pobytu w pewnych porach roku. Dotychczas opinja wypowiadała się za zakazem strzelania słonek na ciągu, t. j. w porze godowej, podobnie jak już istnieje zakaz strzelania wiosną bekasów i dubeltów, choć samce tych gatunków ptaków udziału w wychowaniu młodych nie biorą. Natomiast nikt nie wypowiadał się za zakazem strzelania słonek jesienią. W związku z możliwością ustalenia się opinji za zakazem strzelania słonek w porze godowej, wskazanem byłoby zbadać możliwości strzelania u nas słonek jesienią. *Przyp. Redakcji.*



AMUNICJA KULOWA.

Niestety już drugi rok z rzędu Małopolskie Towarzystwo Łowieckie musiało zaniechać urządzenia dorocznych zawodów strzeleckich. Niepowetowana szkoda, gdyż tak miłe były te zjazdy myśliwskie, odnawiające kontakt między bracią z pod sztandaru św. Huberta. Może ktoś pomyśli, że „kryzys!". Wszak Polska i Węgry nie wysyłają ekipy hippicznej na Olimpjadę do Los Angelos z powodu kryzysu; dwa narody tak ściśle z koniem związane.

Nie, to nie „kryzys". Pewnie, że trening do takich zawodów jest przy bajecznych cenach za ładunek kulowy bardzo kosztowny; ale niejednego i toby nie powstrzymało, gdyby miał zaznać pierwszorzędnej przyjemności, którą dawały nasze strzelania myśliwskie.

Poprostu niema ładunków do broni kulowych — niema kul, niema prochu.

Wprawdzie jakiś wielki fachowiec w Ministerstwie, odmawiając pewnej firmie importu prochu Rottweil, wytłumaczył, że można strzelać polskim czarnym prochem, ale ta ministerjalna ocena nie wszystkim fachowcom balistycznym trafiła do przekonania. Dlaczego właśnie na tego referenta wybrano kogoś, który niema pojęcia o teraźniejszej broni i strzelaniu z tejże, nie wiem. Być może, że — jak pisze — Adam Rzewuski, dano referat teatru zawodowemu dentyście, a dział inżynierji — seminarzyście duchownemu. Być może, że Pythia dałaby na to wyczerpującą odpowiedź, niestety ta zacna matrona zaniemówiła i to jedynie dlatego, że już nie żyje, więc i stąd pomocy się nie doczekamy.

Może od rządu, — jedyna nadzieja!

My nie wyrabiamy u siebie ani łusek, ani kul do nowoczesnej broni i nie mamy dotąd naszego prochu do broni kulowej. Niezrozumiałem jest zatem drakońskie rozporządzenie, zakazujące sprowadzania z zagranicy ładunków kulowych, a konfiskujące dawne zapasy. Cło na kulowe ładunki jest niebywale wysokie w stosunku do ceny ładunku, oblicza się bowiem nie od sztuki, lecz od wagi, a przecież przeciętny fachowiec powinien wiedzieć, iż każdy rodzaj zwierzyny wymaga w stosunku do swej wielkości i żywotności — innego pocisku.

Może zrozumiałem byłoby takie rozporządzenie, gdyby u nas wyrabiano wszelkie, dziś używane, ładunki do broni kulowej; ale ich niema, nie wyrabiamy.

Pomyślećby można, że taki zakaz importu dąży do zmuszenia myśliwych, by powyrzucali swoje Holland'y, Savage'y, Rugby lub Schönauer'y i kupili przy kryzysie broń krajową. O św. naiwności! Jaką?

Więc gdzież cel dążenia, by uniemożliwić poprawne wykonywanie łowiectwa i gorzej jeszcze — utrudniać zawody strzeleckie, które są przecież szkoleniem młodzieży i starszych.

Zrozumiałem jest, że możemy żyć bez bananów, zagranicznego masła i że produkcja zboża popartego rol-

nictwa może nam wystarczyć; ale bez ładunku, bez prochu i kuli ze sztucera strzelić nikt nie potrafi.

Byłoby bardzo pożądanem, aby Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich poczynił usilne starania, by import ładunku do nowoczesnej broni, u nas niewyrabianej, był dozwolony, aż do czasu, gdy sami będziemy wytwarzali odpowiednie łuski i kule, a próby nad prochem myśliwskim wykażą dodatni wynik.

Ceny ładunków śrutowych również są za wysokie. W tym roku bardzo wielu myśliwych odmawiało zaproszeniom w pierwszorzędnych łowiskach w najmilszym gronie, gdyż ładunek nawet w domu wyrabiany, za wielkim okazał się wydatkiem dla kasy sługi św. Huberta.

A może przecież rząd przyjdzie nam z pomocą?

W. G. S.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

DELEGACI POWIATOWI

Zatwierdzone zostały przez Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich następujące kandydatury na delegatów powiatowych Związku:

w województwie Białostockiem — pp.:

insp. Zdzisław Laskowski, Białystok, Piwna 21 i Tadeusz Rakowski, Michałów, Tylwica, obaj na powiat Białystok;

inż. Kazimierz Ciechoński, Grodno, Piłsudskiego 3, kpt. Erwin Daszkiewicz, Żytomla, obaj na powiat Grodno;

Kazimierz Kiełsa, Łapy, na powiat Wysokie Maz.;

w województwie Kieleckiem — pp.:

Józef Pierożyński, nadl. lasów w Starachowicach, na powiat Iłża;

Walerjan Marowski, nadl. lasów państw. w Jędrzejowie, kpt. Roman Szafarczyk, Jędrzejów, obaj na powiat Jędrzejów;

Stanisław Chodorowski, Olkusz, na powiat Olkusz;

w województwie Lubelskiem pp.:

Stefan hr. Tarnowski, Zaklików, na powiat Janów Lub.;

Mieczysław Mniszek - Tchórznicki, Platerów, Hruszniew, na powiat Siedlce;

dr. Stefan Lewicki, Puławy, Instytut, Władysław Ocetkiewicz, Opole, Szczekarków, Zygmunt Płużański, Nałęczów, Gutanów, wszyscy na powiat Puławy;

w województwie Poleskiem — pp.:

Włodzimierz Nikołajew, Kamień Koszyrski, na powiat Kamień Koszyrski;

Edmund Wagner, Iwacewicze, Kasinów, na powiat Kosów Poleski;

w województwie Pomorskiem —

Medard Komar, Kartuzy, na pow. Kartuzy;

w województwie Warszawskiem —

Seweryn Stanielewicz, Bielawy, Mroga, na powiat Łowicz;

w województwie Wileńskiem —

star. Jerzy de Tramecourt, Głębokie, inż. Stefan Jankowski, Głębokie, Bohdan Bogucki, Głębokie, Czerwony Bór, wszyscy na powiat Dzisna.

Lista kandydatów ogłoszona po raz trzeci.

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

OFICERSKIE KOŁO ŁOWIECKIE W RÓWNEM

posiada 22 członków. Tereny łowieckie Koła obejmują grunty miejskie, paligon wojskowy oraz pewien obszar lasów państwowych; łącznie obszar terenów Koła wynosi 6.126,04 ha.

Zwierzostan na terenach tych jest naogół średni: kozły, dziki przechodnie, zające, lisy, cietrzewie i kuropatwy.

Rezultaty byłyby niewątpliwie lepsze, gdyby przekroczenia łowieckie surowiej były karane.

W roku ubiegłym na terenach Koła urządzono 11 polowań po jednym dniu, w 11 do 16 strzelb. Rezultat ogólny był następujący: cietrzewi 25, kuropatw 36, zajęcy 361, lisów 6, jarząbków 18, jastrzębi 15.

OFICERSKI KLUB ŁOWIECKI GARNIZONU WILNO

liczy obecnie członków 35. Tereny łowieckie Klubu rozciągają się w powiatach wileńsko-trockim i święciańskim, obejmując łącznie obszar 21.737 ha.

Zwierzostan — naogół średni: w niewielkiej ilości sarny, pardwy, jarząbki i kuropatwy; lepiej nieco ilościowo przedstawia się stan zajęcy (szaraków i bielaków), cietrzewi, głuszców i ptactwa błotnego i wodnego. Na terenach łowieckich Klubu można spotkać wilki, lisy, wydry i borsuki.

W okolicy całej, niestety, kwitnie kłusownictwo i wnykarstwo, a za przestępstwa te zbyt niskie wymierzane są kary. Broń, konfiskowana kłusownikom, powinna być niszczona, a nie sprzedawana z licytacji.

Polowań w roku ubiegłym urządzono 13, po dni 1 lub 2, na strzelb od 8 do 22.

Ogółem padło: 5 głuszców, 16 cietrzewi, 45 słonek, 35 kaczorów, 128 kaczek, 49 bekasów, 12 dubeltów, 10 jarząbków, 13 kuropatw, 1 pardwa, 6 derkaczy. Na polowaniach zbiorowych zabito: 60 cietrzewi, 137 zajęcy-szaraków, 97 bielaków, 1 kozła, a nadto 2 wilki, 4 lisy, 8 jastrzębi, 13 wron, 4 sroki, 5 kotów i 2 psy.



Z KOMITETU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO

W związku z koniecznością zamknięcia rachunków za rok 1931 i półrocze r. b., pozwalamy sobie prosić PP. Delegatów Powiatowych, Prezesów Stowarzyszeń Związkowych i wszystkich PP. Myśliwych, którzy posiadają książeczki z kwitami do zbierania ofiar na rzecz FUNDUSZU BUDOWY DOMU ŁOWIECKIEGO, — o łaskawe przekazanie wszelkich zebranych na cel powyższy kwot.

Książeczki prosimy zatrzymać w celu dalszego zbierania ofiar.

Pieniądze prosimy przekazać na konto Funduszu Budowy Domu Łowieckiego, P. K. O. Nr. 22939.

ROZMAITOŚCI.

ŁOWCY PUHACZY.

Na wschodniem wybrzeżu morza Kaspijskiego jest miejscowość, którą upodobały sobie na schronisko i miejsce wypoczynku w porze dziennej tajemnicze, wielkie ptaki, puhacze, odbywające tam raz do roku swój przelot, który trwa około miesiąca, od września do października.

Puhacz (Bubo bubo) należy do największej odmiany sów. Rozpiętość skrzydeł jego wynosi do 1 m. 70 cm., a wysokość do 66 cm. Jest nocnym drapieżnikiem, koloru żółtawego z dwoma wysoko sterczącemi „uszami" z piór na głowie, które puhacz może najeżać do góry lub opuszczać na dół. Oczy wielkie, okrągłe, koloru pomarańczowego, widzą w dzień równie dobrze, jak nocą, lecz światła nie znoszą, dlatego też, gdy tylko rozbłyśnie niebo złoto-czerwoną wstęgą, wskazującą, że wkrótce ponad szmaragdowe tonie morza wypłynie słońce, ostrożne ptaki kończą swój nocny przelot i zapadają w nadbrzeżne krze, aby przeczekać do wieczora.

Prawie naprzeciwko Baku, miasta słynnego z przemysłu naftowego, wybiega w morze z północnego zachodu na południowy wschód długa, piaszczysta mierzeja Krasnowodska. Początkowo dość szeroka, przy końcu staje się wciąż węższą i dochodzi do 150—200 mtr. szerokości.

Mierzeja posiada bardzo mało roślinności. Zrzadka pokryta jest karłowatemi krzakami i wypaloną przez słońce, pożółkłą trawą.

Piaszczysty teren, zeschnięte i pożółkłe krze i trawy — tworzą koloryt, wielce zbliżony do upierzenia puhacza i być może dlatego mierzeja jest ulubionem schroniskiem tych ptaków.

Na brzegu mierzei, przy zatoce Beczkowicza, malowniczo rozsiadł się auł Kizył-Su. Osiedle to zamieszkuje ludność rybacka, z pośród której kilku tubylców, posiadających broń myśliwską, co roku z niecierpliwością wyczekuje przylotu puhaczy.

Już przy końcu sierpnia pilnie wypatrują, czy o zmierzchu nie zamajaczy sylwetka wielkich, bezszelestnych skrzydeł, lub w ciszy nocnej — nie rozlegnie się ponure i donośne „uhuhuu!" puhacza.

A gdy w pierwszych dniach września ptaki przylecą, łowcy z bronią w ręku, jeszcze przed wschodem słońca, starając się wyprzedzić jeden drugiego, skradają się ku końcowi mierzei, gdzie widoczne jest światło nadbrzeżnej latarni.

Teren jest trudny do przebycia, nogi więzną w sypkim piasku, lecz oni, przebiegając od jednego krzaczka do drugiego, pośpieszają na kraniec mierzei, gdzie roślinność jest cokolwiek gęstsza i piaszczyste pagórki porosłe są żółtemi krzami i trawą.

Puhacz w trawie siedzi „twardo" i jeżeli przechodzi się obok, nie wprost na niego, to ptak nie podrywa się.

Z tego korzystają doświadczeni łowcy i ujrzawszy zdala ptaka, umyślnie przechodzą obok, z początku w jedną stronę, potem z powrotem, lecz nie zatrzy-

mując się, zbliżają się stale do siedzącego w trawie puhacza. Kiedy odległość zmniejszy się o tyle, że można strzelić, myśliwy odrazu zwraca się w stronę zdobyczy i strzela bez pudła.

Po obejściu wszystkich pozostałych krzaków i zarośli i po wypłoszeniu wszystkich puhaczy, które przyleciały i zapadły w ciągu nocy, łowcy wracają do aułu, gdzie oczekują ich przekupnie. Sprzedaż odbywa się łatwo, bez targów, gdyż ceny są ustalone.

W roku 1929 za starego puhacza płacono 3 ruble, a za młodego 2½ rubla.

Puhacz posiada na nogach upierzenie z pięknych, bardzo puszystych piór, jasno żółtego koloru, długich do 10 cm., w ilości od 20 do 25 sztuk.

W celu zdobycia tych piór, tubylcy polują na te ptaki. Stary puhacz ma pióra piękniejsze i więcej puszyste, niż młody, dlatego cena starego jest wyższa. Miejscowi przekupnie sprzedają pióra w Krasnowodsku po 4 ruble za puhacza, dalej są one transportowane do Aschabadu coraz drożej, aż gdy dojdą do celu, cena ich zwiększa się od 15 do 20 rubli za jednego puhacza.

Pióra te są używane do upiększenia nakrycia głowy dla kobiet uzbeczek z plemienia Sartów.

W sezonie polowania kilkunastu miejscowych turkiestańczyków zdobywa od 500 do 600 puhaczy *).

FELIKS POPŁAWSKI,
delegat P. Z. Ł. na pow. Łowicz.

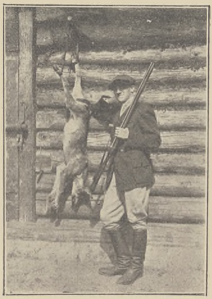
LISY MUZYKALNE

Bataljon, w którym swego czasu pełniłem służbę, zakwaterowany był w barakach, leżących na brzegu dużego, pięknego lasu, o kilka kilometrów od miasta. W godzinach popołudniowych wychodzili trębacze bataljonowi na błonia, leżące również tuż koło lasu, i ćwiczyli się w trąbieniu. Była to muzyka okropna; pierwsze próby młodych adeptów sztuki grania na trąbie mogły umarłego wskrzesić, a conajmniej wszystkie szczury z okolicy wystraszyć. Ale młode lisy, buszujące w pobliskim lesie, były widocznie innego zdania, gdyż skoro tylko trębacze zaczęli ćwiczyć, wychodziły z lasu, siadały opodal i wyły „wniebogłosy". Był to przemiły widok. Cztery prześliczne, może dwumiesięczne liski, podniósłszy swe zgrabne mordeczki do góry, zawodziły na różne tony, to żałośnie, płaczliwie, to znowu jakoś skocznie; na odmianę jeden, to drugi poszczekał chwilę, podrapał się za uchem, słowem — obrazek, nadający się do kina. Nie mogłem tylko wymiarkować, czy to muzyka trębaczy sprawiała liskom zadowolenie, czy śpiewały przy akompanjamencie trąbek dla przyjemności, czy też chciały w ten sposób wyrazić swoją chęć pozbycia się nieproszonych i niesympatycznych gości.

Koncerty te powtarzały się codziennie, ale żołnierze nie rozczulali się zbytnio lisią muzyką i postanowili „śpiewaków" połapać. Nie było to jednak tak łatwem; kilka kroków, zrobionych w ich stronę, jakiś potajemny ruch, a lisy już były w gąszczach lasu. Żołnierze obmyślili więc inny plan, który się w zupełności udał. Wypatrzyli jamę, w której się liski wychowały, poczem kilku z nich zaszyło się w krzaki, nieopodal lisiego gniazda, a gdy liski, wywabione muzyką trębaczy, wyszły z lasu, pozatykali otwory, wiodące do jamy. Na dany sygnał trębacze zaczęli liski gonić, te zaś uciekały prosto do swej nory, gdzie wszystkie wpadły w ręce uszczęśliwionych udanym fortelem wojaków.

Chowaliśmy je w dużej, drewnianej klatce, ale były tak dzikie i złośliwe, że się ucieszyłem, gdy pewnej nocy przegryzły drewnianą kratę klatki i wyniosły się z powrotem do lasu. Ale na koncerty popołudniowe już więcej nie uczęszczały.

PŁK. WITOLD NIESIOŁOWSKI.



Mój pierwszy wilk. Fot. J. B.-Markowski.

ZE STACJI BADANIA WĘDRÓWEK PTAKÓW.

Wobec rozpoczętego sezonu polowań na ptactwo, Stacja Badania Wędrówek Ptaków przypomina się pamięci myśliwych. Od czasu do czasu zdarza się, że zabity ptak ma na nodze aluminjową obrączkę, założoną bądź przez stację polską, bądź też przez jedną ze stacyj zagranicznych. Otóż w imię nauki uprasza się o odsyłanie takich obrączek do Stacji Badania Wędrówek Ptaków (Państwowe Muzeum Zoologiczne, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 26/28). Przy przesyłaniu obrączki zaznaczyć należy:

1. Datę schwytania lub zabicia ptaka.

2. Miejscowość, w której ptak został zabity (z podaniem powiatu).

3. Nazwisko tego, kto zabił lub schwytał ptaka.

4. Dokładny adres pocztowy podającego wiadomość.

Jeśli ptak zaobrączkowany pochodzi z za granicy Polski, to Stacja Badania Wędrówek Ptaków ze swej strony poda komu należy wiadomość o zabiciu lub złapaniu ptaka w Polsce, po otrzymaniu zaś odpowiedzi zawiadomi nadsyłającego o miejscu zaobrączkowania ptaka.

Niejednokrotnie nasi myśliwi przesyłają wiadomości o obrączkowanych ptakach bezpośrednio do sta-

*) Ładna „ochrona przyrody" — *Przyp. red.*

cyj zagranicznych, skąd dopiero otrzymuje wiadomość stacja polska. Z wielu względów pożądanem jest, by wiadomości o obrączkowanych ptakach, zabitych w Polsce, docierały przedewszystkiem do stacji polskiej.

Pożądanem jest przesyłanie nie tylko obrączki, ale całego zabitego ptaka, przyczem należy nadać go na pocztę jaknajprędzej po zabiciu. Latem należy zabitemu ptakowi wsypać nieco soli do dzioba, pod powieki oraz do otworzonej uprzednio jamy brzusznej

Na żądanie stacja zwraca koszta przesyłki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

NAJWIĘCEJ ŻUBRÓW — W POLSCE.

Żubr w Polsce wytrzebiony został doszczętnie w czasie wielkiej wojny.

Obecnie potężny ten zwierz, przypominający czasy przedhistoryczne, odradzać się poczyna na naszych ziemiach.

W całej Europie obowiązuje ochrona żubra, najgorliwiej jednak przestrzega jej Polska.

Wszystkich żubrów jest na świecie 67 sztuk. Z tej liczby trzecią część, a więc 21 sztuk posiada Polska: w warszawskim ogrodzie zoologicznym — 2, w poznańskim ogrodzie zoologicznym — 1, w Białowieży — 11, a wreszcie w Pszczynie — 7. W Białowieży przyszła ostatnio na świat żubrzyca i fakt ten znacznie wzmocni szanse rozmnożenia się żubrów w Puszczy Białowieskiej.

Z WARSZAWSKIEGO OGRODU ZOOLOGICZNEGO.

Miejski Ogród Zoologiczny w Warszawie rozwija się szybko.

W ciągu ostatniego sezonu ogród wzbogacił się znacznie: przybyło więc 110 małp rezusów, 1 szympans, 1 mrówkojad, trzecia puma, 1 buhaj szkocki, 1 foka bałtycka, 2 białe strusie, 1 małpa białonosa, 1 wąż boa, 1 żubr (z Białowieży), 1 hjena, 2 lisy srebrne i 1 biały zając.

ZABICIE BOBRA.

Jeszcze w końcu kwietnia r. b. w miejscowości Ruda (pow. Oborniki, woj. Poznańskie), na rzece Wełnie — wieśniak Paweł Krueger zastrzelił bobra, który w niewyjaśniony sposób umknął ze sztucznego żeremia w państwowem nadleśnictwie Bucharzewo.

P. starosta powiatowy w Obornikach bobra skonfiskował i oddał go do spreparowania, a sprawcę przekazał do ukarania sądowi.

Po rozprawie w sądzie grodzkim w Rogoźnie, w dniu 16 ub. mies., Krueger ukarany został grzywną zł. 1000 z zamianą na 50 dni więzienia, oraz zasądzono konfiskatę broni i zwrot kosztów przewodu.

Obrońca skazanego zapowiedział apelację, jesteśmy jednak przekonani, że wyższe instancje sądowe wyroku tego nie złagodzą.

STRZELNICA W SZCZĘŚLIWICACH.

Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie dokonało na swej strzelnicy na forcie Szczęśliwickim urządzeń, które pozwalają na strzelanie z pistoletów, rewolwerów, broni małokalibrowej, broni myśliwskiej śrutem i kulami do celów ruchomych, broni wojskowej i sztucerów, na odległość 15, 25, 35, 50, 100 i 185 metrów.

Warunki korzystania z urządzeń strzelnicy podamy w następnym numerze „Łowca Polskiego".

SPROSTOWANIE.

Wskutek pomyłki drukarskiej w N-rze 33 „Łowca Polskiego" na str. 539 zamieszczono błędny podpis pod fotografją p. J. W. Krauzego.

Podpis ten winien brzmieć: „Letnie wilki. Fot. J. W. Krauze".

KOMITET REDAKCYJNY: J. Błeszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. br. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrung, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Wareckа 15.